

## Fragment opowiadania „Taniec Leny” z książki „Spotkania” Justyny Reczeniedi

Zadowolona, że kawiarnia Opera wystawiła się z dwoma stolikami na zewnątrz, legła w niej po występie. Na razie wszystko idzie ściśle według planu. Lena jest szczęśliwa; jak zwykle po tańcu. Zachwycona aurą wieczoru siedzi w kawiarni, pijąc Malibu z bitą śmietaną i jest cała w skowronkach. Bynajmniej nie z powodu Malibu, o nie... chociaż trunek smakuje rewelacyjnie! To ostatni już wieczór, kiedy jest sama! Jutro będzie inaczej (jaki ten Paryż teraz przyjazny...!). A dlaczego? Jutro rano przyjeżdża tu do niej Milowicz. Poważnie. Przyjeżdża (lampki się zapaliły). Przyjeżdża, przyjeżdża, przyjeżdża do Paryża Milowicz, Teodor Milowicz!

Przemyślała sobie cały pobyt w Paryżu. Przypomniały jej się miłe chwile, które spędziła do tej pory. Samotność, jaka jej się przez ten czas skutecznie dawała we znaki, nie zdołała jednak zabić w niej radości z tańca, poczucia niezależności i szczęścia, nawiedzającego Lenę na krótko w pewnych chwilach. Może twierdzi tak dlatego, że już jutrzejszy dzień nie będzie podobny do tych, które były? A jest z tego niewypowiedziane rada!

Dziś wieczorem, gdy Lena wracała do hotelu w towarzystwie licznych spojrzeń, po raz pierwszy czuła się tym lekko skrępowana. Obawiała się trochę, że nie wygląda na osobę zupełnie normalną i zrównoważoną – uśmiech wprost nie schodził z jej twarzy!

Wcześniej jej występ nagrywała telewizja duńska (mili faceci) i Polo-Sat (prostaki).

Było też dużo pseudożebractwa (zaczyna ją to irytować, a taka już była dobra...), wiele miłych słów na temat jej tańca (żeby oni wiedzieli, jak to kocha!) oraz sporo różnego rodzaju śmiesznych, ale i mniej zabawnych sytuacji. Na przykład podchodzi do niej typ, niby elegancki, ale dla niej – Lena stwierdza to bez cienia przesady – niczym nie różni się od bezdomnego pijaka, który już po raz drugi ją dziś nagabywał. No więc podchodzi ów olbrzym i w połowie utworu (czym ją przestraszył) nonszalancko wypala:

– Pogadamy?

Lena przerywa taniec i wbija w niego zimny wzrok.

– Słucham?

– Pogadamy? – powtarza potwór.

– O czym? – rzuca krótko.

– E... o pogodzie.

Poczuła jakby nóż jej się w kieszeni otwierał.

– O t w o i m tańcu... – brnie przybłąda.

– A co ma pan do powiedzenia?

– No... żeby taka ładna tutaj albo tego... – i coś zaczyna bełkotać.

„A won stąd!” – myśli sobie.

– Wie pan, ja właściwie niedługo wyjeżdżam. Nie mam czasu.

– Aha, bo tego... Nie jesteś z Paryża. Ale ładnie tańczysz.

„Idź precz, kanalio! – Lena jadowniczo spogląda na intruza. – To te biedne dzieci puszczone samopas wiedzą, jak się należy do mnie zwracać, a taki nie ma za grosz ogłady?”

Trochę jej przykro. Przykro, bo widzi, że ogólnie ludzie są prymitywni. Już nie chodzi tylko o ten przypadek; miała tu do czynienia z tak wielkim natężeniem prostactwa u na pozór elegancko wyglądających ludzi, że wolałyby jak najszybciej zapomnieć.

Dwa komary wisiały na suficie (a sufit w hotelu jest bardzo jak dla niej wysoko). Lena postanowiła je zgładzić, zanim się do niej dobiorą. Cieszyło ją to, że umiała stanąć na wysokości zadania. Rzuciła poduszką i oba się ulotniły.

Jutro pogoda też będzie idealna. Dochodzi północ. Teodor wyruszył już z Krakowa. Lena wpada na pomysł: „Pójdziemy jutro do Coctailbaru Opera. Tam są wspaniałe drinki, wyborne wino... – to kameralne miejsce, szczyt elegancji i dobrego smaku. Pójdziemy...!”.

## II. Końce

Dwa lata później  
W pociągu

Lena ze wzrokiem wbitym w kartkę bawi się, literując:

Eingang – Ausgang  
Wolfgang... – wejście wilka?  
Amadeus – ukochany przez Boga  
Teo  
Teodor...

Można by się uprzeć i, patrząc na Lenę udającą się teraz w samotną podróż do Wiednia, stwierdzić, że samo znalezienie się w tej dość przygnębiającej lub raczej ryzykownej sytuacji jest w stanie ją w jakiś sposób, jeśli nie uszczęśliwić, to przynajmniej odrobinę pocieszyć.

Odkąd pamięta, zawsze lubiła samotność, nawet gdy była ona cierpka i zakrapiana goryczą, jak dziś. Mogła wówczas, zatopiona we własnych myślach, oddalić od siebie wszelkie wariactwo, obłudę czy „trucie”, któremu chyba każdy od czasu do czasu niechętnie podlega.

Los rzucił ją w osobliwą historię. Poddała się temu, ponieważ chciała mieć przy sobie mądrego mężczyznę... Lecz co robi dziś? Ta maniacka podróż do Wiednia... Czy nie jest rodzajem ucieczki? Jej myśli, dość leniwe i rozmemlane, oscylują wokół tego, co dzieje się od

dwóch lat w jej sercu w związku z poznawaniem krok po kroku Teodora Milowicza.

Tymczasem jest nawet szczęśliwa, że mogła umknąć, znaleźć się gdzieś p o z a..., zdana wyłącznie na siebie. „Szczęście” to może za duże słowo, więc niech będzie, że odczuwa ulgę.

Początek lata. Wszędzie świeża zieleń wyrasta ze zroszonej lipcowym deszczem ziemi. Już wie, że warto było podjąć wyzwanie tej przedziwnej samotnej podróży.

### **Dzień pierwszy**

Powyższe słowa cedziła sobie ze stoickim spokojem jeszcze wczoraj w pociągu. Od tamtej pory zdążyła się już kilkakrotnie załamać, jak i przywołać do porządku, poczuć coś w rodzaju nieuzasadnionej euforii, by za chwilę pogrążyć się w smutku, wracającym teraz do niej jak bumerang.

Jakimś cudem udało jej się zagnieździć w upatrzonej już dawno kanciapie w hostelu Panda, a pod wieczór przez bitą godzinę strugać artychę ku uciesze przechodniów na Grabenstrasse.

Pije znakomity skądinąd drinkjogurt, rozmyślając o tym, że nie czuje się już komfortowo. Nawet leżąc w łóżku, słyszy obcą mowę – od samego rana jacyś młodzi trajkoczą głośno bez końca jeden przez drugiego po angielsku, włosku, niemiecku, japońsku i w innych językach. Czeka ją trudny job. Leży i zastanawia się, jak rozwiać melancholię.

Teodor nie napisał ani słowa, choć wczoraj jeszcze dzwonił i zaklinał się co do SMS-ów.

„Może ma mi za złe raptowny wyjazd?... – zastanawia się posępnie. Znowu trudna miłość... Czy będzie potrafił mi wybaczyć swoje r o z c z a r o w a n i e?”...

Postanowiła, że tańczy na ulicy już ostatni raz. Ten pobyt w Wiedniu, to będzie jej pożegnanie z cygańskim życiem. Jeśli coś ją w ogóle cieszy, to tylko ta jedna uskrzydlająca myśl: Robię to po r a z o s t a t n i.

(...)